

ZE WSPOMNIENÍ O ŚW. SIOSTRZE FAUSTYNIE

WSPOMNIENIA s. M. Bożenny Pniewskiej ZMBM (2)

Raz, gdy przypadkowo zaszłam do kaplicy w Józefowie, zobaczyłam Siostrę Faustynę, jak klęczała po chórkami, nawet w fartuchu, zapewne weszła wprost od roboty, i wpatrzona była w tabernakulum, a twarz jej wówczas była jasna jak w ekstazie, a tak była pogrążona w modlitwie, że wcale nie spostrzegła mego wejścia, a ja usunęłam się cichutko.

Gdy w roku 1938 wyjeżdżałam do Walendowa, zaszłam do izolátky, by się pożegnać z Siostrą Faustyną, już bardzo chorą i leżącą, i polecić jej moją klasę. Po przyjeździe do Walendowa powiedziałam do s. Reginy Jaworskiej, która dobrze знаła Siostrę Faustynę, bo były z jednego nowicjatu: „Wie, Siostra, że Siostra Faustyna bardzo się uświęciła w tej chorobie”. Takie miałam wrażenie o niej.

W późniejszym życiu otrzymałam za przyczyną Siostry Faustyny dwie łaski, mianowicie: w roku 1947 zawiadomiono mnie z mego rodzinnego domu, że ojciec mój ciężko zachorował; bardzo pragnęłam zastać jeszcze staruszka przy życiu, dlatego uzyskawszy pozwolenie przełożonych wybrałam się w drogę. Z myślą, by przycynić się do rozpowszechniania kultu Miłosierdzia Bożego w naszych stronach, wzięłam pełną walizkę obrazków i druków o Miłosierdziu. Oprócz tego dano mi jeszcze do Warszawy parę butelek miodu i kilka słoików marmolady, więc było co dźwigać. Wiemy, czym były podróże w czasach powojennych: w pociągach ścisk, o wejściu do przedziału i miejscu siedzącym ani marzyć; całą noc stałam na korytarzyku, na każdej stacji popychana w tę i ową stronę przez pasażerów wsiadających i wysiadających, a muszę zaznaczyć, że w grudniu uprzedniego roku miałam operację ślepej kieszki i szwy trudno się goiły, a opuchnięcie jeszcze trwało. Dojechałam do Warszawy. Tramwaje nie kursowały, musiałam więc iść pieszo i dźwigać te swoje ciężary; oglądałam się za jakąś pomocą, za jakim chłopakiem, którego bym wynajęła dla doniesienia mi paczek do domu naszego na Żytniej, ale na próżno! Musiałam sama sobie radzić, a tu szwy niedobrze porastane zaczynają mi

docuczać, za każdym krokiem ból się wzmacnia, zaczynam wątpić, czy dojdę żywa, chyba padnę na ulicy. Co kilka kroków staję i kładę na ziemię moje paczki. Po paru minutach znów je podejmuję aż do następnego odpoczynku. Wreszcie, widząc ten mój pochód dziwny, jakaś kobieta ulitowawszy się pomogła mi dźwigać walizkę. Gdy doszłam do Żytniej i dano mi miejsce na odpoczynek, bóle nie do opisania pochwyliły mnie tak, że zaczęłam myśleć, iż nie tylko nie będę w stanie dojechać do rodziny, a nawet nie wrócę do Józefowa, lecz chyba tu życie już zakończyę. W rozpaczy wzięłam do ręki medalik Miłosierdzia Bożego, który nosiłam na szyi, i prosiłam za przyczyną Siostry Faustyny o uzdrowienie, obiecując, że łaskę tę, gdy ją otrzymam, ogłoszę w „Posłańcu” i nie tylko sama będę się modliła do Miłosierdzia Bożego, lecz również kult ten szerzyć będę w miarę mojej możności. Natychmiast uczułam, jakby kto trzykrotnie przyłożył na miejsce bolące gorący plaster i ból niezwłocznie ustał. Podziękowałam w gorącej modlitwie, a po dwóch godzinach swobodnie zeszedłam ze schodów, zaszłam na dworzec i pojechałam do mego chorego ojca. Po kilku dniach powróciłam do Józefowa i nie dość, że bólu nie odczuwałam, lecz już nie powrócił on więcej.

W roku 1948 utworzył mi się guz na rękę na zewnątrz nadgarstka. Poszłam do lekarza, który mi kazał przykładac kompresy, bandażować, ale wreszcie powiedział, że trzeba będzie to miejsce wypalać; tego wypalania się bałam. Wieczorem, kładąc się do łózka, wzięłam fotografię Siostry Faustyny i postawiwszy ją na stoliku nocnym, powiedziałam do niej: „Jeśli to się zgadza z wolą Bożą i uświęceniem mojej duszy, to daj, żeby ten guz zginął; zmówiłam jeszcze modlitwę za przyczyną Siostry Faustyny, następnie zgasiłam światło i zasnęłam. Rano przy myciu patrzę – nie ma guza! Podziękowałam Siostrze Faustynie, a guz nigdy się już nie odnowił. Piszę to w roku 1956.

s. M. Bożenna Pniewska